

Reformacja

- czy warto ją wspominać?

Minęło 500 lat od ogłoszenia przez augustiańskiego mnicha Marcina Lutra słynnych 95 tez, zapoczątkowujących – wbrew intencjom ich autora – jeden z najbardziej dramatycznych podziałów w tonie chrześcijaństwa. Właśnie, podziałów.

Dlaczego miałbym świętować lub chociażby tylko wspominać bolesne pęknięcie w samym sercu Europy?

Ranę zadaną historycznemu chrześcijaństwu, krwawiącą przez wieki mimo prób jej opatrywania? Iskrę, która podpaliła świat, grzebiąc w ruinach średniowieczny porządek?

Antyklerykalizm i antykatolickie uprzedzenia?

Wspominam Reformację nie dlatego, że mój utajniony antyklerykalizm znalazł wreszcie właściwe sobie święto, pod które można podpiąć z entuzjazmem płytką niechęć do księży i hierarchicznej struktury kościelnej. Wręcz przeciwnie – nie jestem antyklerykałem, nie udostępniam dowcipów o „czarnych sukienkach” i nie cieszę mnie medialne trawienie każdej historii upadłego duchownego. Wspominam Reformację nie dlatego, że Kościół rzymskokatolicki jawi mi się jako siedlisko dia-

belskiej agentury i piąta kolumna piekła na ziemi. Wręcz przeciwnie – dostrzegam w nim wiele pięknych idei i słusznych intuicji, które narodzić się mogły tylko w umyśle Bożym.

Wspominam Reformację nie dlatego, że Marcin Luter okazał się doskonałym przewodnikiem po meandrach chrześcijańskiej duchowości. Wręcz przeciwnie – obok licznych zalet widzę wyraźnie również szereg słabości, które nijak nie dają się dokleić do wzniosłych i dumnych pomników. Wspominam Reformację nie dlatego, że mój umysł odczuwa dziką rozkosz, widząc pożogę, religijne wojny i upadający porządek średniowiecznej Europy. Wręcz przeciwnie – spoglądam na nie z żalem i łzami, widząc jak trawią mimochodem wiele bezcennych wartości.

Wspominam Reformację nie dlatego, że widzę w niej radosne zwycięstwo nowego nad starym, sukces marzycielskiego nowatorstwa lub teologicznego pionierstwa. Wręcz przeciwnie – całym sercem stoję za tym, co najstarsze i nieodzowne w tradycji chrześcijaństwa. Wspominam Reformację nie dlatego, że jej owocem są liberalne na wskroś protestanckie Kościoły zachodniej Europy, różniące się od lewicowych bojówek właściwie tylko pozostawionym krzyżem na dachach budynków. Wręcz przeciwnie – uznaję je za karykaturę chrześcijaństwa, stokroć bardziej potrzebują-



ca reformacji niż XVI-wieczny katolicyzm. Wspominam Reformację nie dlatego, że nadała chrześcijaństwu cech demokratycznych, prowadząc do egalitaryzmu i finalnej emancypacji woli wiernych. Wręcz przeciwnie – trzymam się kurczowo przekonania, że istnieją prawdy i porządki ważniejsze od ludzkich preferencji. Wreszcie, wspominam Reformację nie dlatego, że przyniosła podział w łonie chrześcijaństwa. Wolałbym widzieć świat, w którym Rzym i Genewa przemawiają jednym głosem.

Tylko Bogu chwała – sedno chrześcijańskiej duchowości

Dlaczego zatem wracam myślami do Reformacji raczej z radością niż goryczą? Gilbert Chesterton powiedział kiedyś: *Prawdziwy żołnierz walczy nie z powodu nienawiści do tego, co naprzeciw niego, ale z powodu miłości do tego, co za nim*. Oto dlaczego wspominam Reformację. Wracam do bitew stoczonych przez XVI-wiecznych reformatorów ze względu na nadrzędną rzeczywistość, która kryła się za ognistymi strzałami reformacyjnych polemik. Oddano ją później sumarycznie trzema łacińskimi słowami: *Soli Deo Gloria* – tylko Bogu chwała.

Dodajmy, że to myśl bynajmniej nie nowa i nie nowatorska. Przecież już apostoł Paweł pozostawił chrześcijaństwu głębokie przekonanie, że Bóg czyni wszystko *dla uwielbienia chwały swojej łaski*. W pierwszym rozdziale Listu do Efezjan ten apostoł narodów zawarł panoramę dramatu Odkupienia, będącego szczytowym objawieniem chwały Bożej. Oto wszystko, co największe i najpiękniejsze w Bogu – a przecież nie ma w Nim niczego innego – znalazło swoje ujście właśnie w dramaturgii wylanej na krzyżu łaski. Człowiek został tam odnaleziony, odkupiony, usprawiedliwiony, uświęcony, a wreszcie i uwielbiony – wbrew wszystkiemu, lecz za wyborem wszechmocnej woli Bożej. W tym malutkim punkcie na mapie historii spotkały się wszystkie atrybuty Boga, aby namalować wspólnie pejzaż Bożej chwały. To tutaj Boży Syn został uwielbiony przez Ojca, aby ostatecznie Ojca uwielbić. Gdyby krzyż miał usta, wołałby niestrudzenie owo *Soli Deo Gloria!* Taki był bowiem nadrzędny cel Odkupienia i jego ostateczne zadanie. Tak pomyślana została Ewangelia i wokół takiej Ewangelii zgromadzony miał zostać Kościół. W XVI-wiecznej Europie zupełnie jednak o tym zapomniano.

Krajobraz XVI-wiecznego chrześcijaństwa

Pismo Święte nie było czytane przez osoby świeckie, a duchowni nie rozumieli jego treści. Byli słabo wykształceni i koncentrowali się przede wszystkim na rywalizacji o doczesne dobra. Status duchownego stał się raczej przepustką do ulg i przywilejów, niż wyzwaniem do prowadzenia ludzi ku Bogu. Nikt nie był pewien, jak sięgnąć po zbawienie, a udzielane odpowiedzi różniły się w zależności od parafii. Kiedy ewangeliczny analfabetyzm wstępuje na ambony, tajemnica Ewangelii zaczyna ustępować miejsca przesądom. Prości ludzie pielgrzymowali po kraju, aby dotknąć świętych relikwii,

czasami równie absurdalnych jak sienkiewiczowski szczebel z drabiny, która przyśniła się Jakubowi lub szkielet niemowlęcia zabitego przez Heroda. Społeczne elity – również w samym centrum rzymskiej kurii – bezwstydnie handlowały kościelnymi stanowiskami, sprzedając i kupując nawet dary Ducha Świętego. Wszystko w Kościele miało swoją cenę, lecz nic nie miało już swojej wartości. W centrum teologicznego zamętu kwitł handel odpustami – dokumentami, oferującymi uwolnienie od pośmiertnej kary za grzech. Bulla papieska Sykstusa IV z 1476 roku rozszerzyła ten przywilej na dusze znajdujące się w czyśćcu, pod warunkiem, że żyjący krewni zakupią dla nich odpust. Blisko 25 lat później w całej Europie odbywały się wielkie kampanie odpustowe, co historycy odnotowali jako „silną fiskalizację odpustu”. Już w 1482 roku krąży po paryskiej Sorbonie satyra, kończąca się słynnym dwuwierszem: *Ledwie brzęk pieniądza skarbona poczuje, a już dusza z czyśćca migiem wyskakuje*. Dominikanin Jan Tetzel został wynajęty przez arcybiskupa mogunckiego Albrechta (*notabene* piastującego swoje stanowisko dzięki sowytym daninom na rzecz Rzymu), aby sprzedawać na terenie Rzeszy odpust zupełny papieża Leona X. Z osiągniętych z tego tytułu wpływów Albrecht spłacał zaciągniętą wcześniej pożyczkę na opłacenie tytułu arcybiskupa, a drugą połowę przekazywał bezpośrednio do Rzymu. Sowiec wynagradzany Jan Tetzel nie miał żadnych skrupułów i stosując agresywny marketing, zawierający wiele klasycznych cech manipulacji, sprzedawał przestraszonym ludziom odpusty, obiecując, że wpłyną one pozytywnie na stan ich duszy i wieczną przyszłość. Chrześcijaństwo, które gubi łaskę, traci również litość.

Powrót do Ewangelii chwały i łaski Bożej

I nagle – w samym centrum duchowego chaosu i moralnego upadku – augustiański mnich Marcin Luter ogłasza w Wittenberdze 95 tez, stanowiących brawurową szarżę na bezlitosną politykę odpustów. Luter z przejmującą szczerością oznajmia: *Ludzkie brednie opowiadają ci, którzy głoszą, że gdy grosz w skrzynce zabrzączy, dusza z czyśćca uleci* (teza 27). Dodaje przy tym: *Krzywdą się dzieje Słowu Bożemu, jeżeli w kazaniu tyle, a może i więcej czasu poświęca się głoszeniu odpustów, co i Ewangelii* (teza 54). Z kolei w 62 tezie kreśli słowa, które z powodzeniem mogą stać się powiewającym sztandarem Reformacji: *Prawdziwym skarbem Kościoła jest najświętsza Ewangelia chwały i łaski Bożej. Ewangelia chwały i łaski Bożej!* Oto dlaczego wspominam Reformację, mimo świadomości jej licznych kontekstów społecznych i politycznych.

Jak można było mówić bowiem o chwale Bożej, odsłoniętej w dramacie Odkupienia, jeśli ludzie zupełnie zatracili świadomość Bożej łaski, pokładając ufność raczej w listach odpustowych niż w *Ewangelii chwały i łaski Bożej*? Gdzie podziela się przestrzeń dla docenienia Ewangelii, jeżeli Dobra Nowina straciła w ludowej świadomości potencjał oczyszczania sumień i radowania serc? Ile warte było warunkowe zbawienie, które obok

dzieła Chrystusa żądało jeszcze ludzkiego zadośćuczynienia, pozostawiając człowieka niepewnym co do warunków przebaczenia? Wreszcie, dlaczego w tak wielkie zapomnienie popadł Augustyn z Hippony, święty Kościoła katolickiego, doktor i ojciec Kościoła? To przecież on w „Traktatach o łasce” upominał się gorliwie o centralne miejsce łaski Bożej w świadomości Kościoła, mówiąc m.in.: *Szukamy bez skutku zasługi wyjednującej miłosierdzie. Nie ma takiej, bo łaska przestałaby być łaską, gdyby zamiast być darem, stała się nagrodą za zasługi.* Reformacja nie wymyśliła nowego chrześcijaństwa. Raczej usiłowała wrócić do tego, czym chrześcijaństwo zawsze było i czym winno zawsze pozostać.

Luter, Kalwin, Zwingli, Melancton, Łaski lub Rej – oni rozumieli wraz z Augustynem, że Kościół bez świadomości łaski Bożej jest Kościołem pozbawionym chwały Bożej, a wtedy cóż takiego można w nim znaleźć, czego nie dałoby się znaleźć i poza nim? Jaka jest racja istnienia Kościoła, jeżeli traci on swój podstawowy cel: *oddanie chwały tylko Bogu* za Jego kompletne, wystarczające i doskonałe dzieło Odkupienia, stanowiące centrum historii wszechświata?

Reformatorów trudno uznać za bezrefleksyjnych entuzjastów, zadowolających się ogólnikowym i bezkształtnym mówieniem o Jezusie, jakich niezliczoną liczbę wydał właśnie XXI wiek. Nie sposób uznać ich również za pragmatyków, gotowych głosić cokolwiek w celu zapełnienia krzesel w nowo otwartym kościele. Wyróżniali się bowiem zdumiewającym ukierunkowaniem na chwałę Bożą, jako centralną i wiodącą ideę chrześcijaństwa. John Piper pisząc o Kalwinie, podkreślał *niestrudzoną koncentrację na Bożej chwale*, a sam Kalwin w swoich „Instytucjach religii chrześcijańskiej” opisywał świat jako *theatrum gloriae*, wskazując że każdy aspekt ludzkiego życia od pracy do czynności kulturowych i od sztuki do technologii niesie ze sobą potencjał uwielbienia Boga. Myśl ta była tak centralna w pracach genewskiego reformatora, że słynny pisarz Martyn Lloyd-Jones nie wahał się stwierdzić, iż u Kalwina *wielką, centralną i najważniejszą prawdą była suwerenność Boża i chwała Boża*. Nie inaczej rzecz miała się z Marcinem Lutrem. Dziewięć lat przed swoją śmiercią stwierdził, że chciałby, aby ze wszystkich jego dzieł przetrwały „O niewolnej woli” i katechizm. Traktat „O niewolnej woli”, będący ognistą polemiką z renesansowym humanistą Erazmem z Rotterdamu, bronił przekonania o wyłącznym, kompletnym i wystarczającym dziele łaski Bożej w procesie zbawienia grzeszników. Luter stwierdził tam: *Lecz nie tu jest teraz miejsce snuć opowieść o moim życiu lub moich czynach, wszak podjęte to zostało nie po to, byśmy samych siebie zalecali, lecz by uwielbiać łaskę Bożą. Uwielbienie łaski Bożej* – serce wielkiego Listu do Efezjan – znów oto zabiło w ciele Reformacji.

Dlatego właśnie...

Dlatego właśnie *Sola gratia* i *Sola fide*, aby Bóg – jako samotny Odkupiciel, „sprawca i dokończyciel wiary” – uznany został za wyłącznego sprawcę zbawienia

człowieka i aby w ten sposób odebrał należną sobie chwałę. Dlatego właśnie *Solus Christus* i *Sola Scriptura*, aby chronić tajemnicę krzyża przed zakusami przesądów i uznać łaskę Bożą za unikalny i bezalternatywny kanał zbawienia. Tylko w taki sposób bowiem Bóg odbiera należną sobie chwałę za kompletne i zapierające dech dzieło Odkupienia. A przecież, jak stwierdził Jonathan Edwards uznawany za najwybitniejszego amerykańskiego teologa, *wielki cel dzieł Boga, który jest tak różnorodnie wyrażony w Piśmie, jest w rzeczywistości tylko jeden; a ten jeden cel najpoprawniej i najpełniej nazywa się Chwałą Boga.*

Dlatego właśnie wspominam Reformację. Doceniam jej teocentryczną wrażliwość i stałą koncentrację na chwale Bożej. Doceniam próbę wydobywania łaski Bożej spod sterty listów odpustowych, relikwii i świętych obrazów. Doceniam powrót do Pisma Świętego jako kanonu i źródła chrześcijańskiej wiary. Chciałbym, jak Jan Sebastian Bach, pozostawić na każdym dziele swojego życia litery S.D.G. (*Soli Deo gloria*), rozumiejąc, że tylko w takim celu zostałem stworzony. Z drugiej strony, głęboko ubolewam nad wieloma skutkami Reformacji, takimi jak defragmentacja protestantyzmu, oderwanie od struktur Kościoła historycznego, a także postępujący



wciąż proces stapiania się wielu protestanckich Kościołów Zachodu z antropocentryczną wizją liberalnej ideologii.

Cóż, gdy prawda śpi, budzą się przesady. A na początku XVI wieku spała. Myślę, że uderzenia młota przybijającego tezy do drzwi wittenberskiego kościoła przysłużyły się jej przebudzeniu, a to wystarczający powód, żeby wracać do tamtych chwil z wdzięcznością. Być może – paradoksalnie – to właśnie Kościół rzymskokatolicki pozostaje największym beneficjentem Reformacji, pozbywając się ostatecznie wielu wynaturzeń, które uczyniły Reformację konieczną. Dzisiaj również świat protestancki i postprotestancki potrzebuje powrócić do reformacyjnej kontestacji antropocentryzmu, odkrywając na nowo apostołską myśl, która nadała intelektualny impet XVI-wiecznej Reformacji: „Bogu, który jedynie jest mądry, niech będzie chwała na wieki wieków przez Jezusa Chrystusa” (Rz 16:27).

BARTOSZ SOKÓŁ

Tekst ukazał się pierwotnie na <http://nalezciedojezusa.pl>.
Wykorzystano za pozwoleniem.